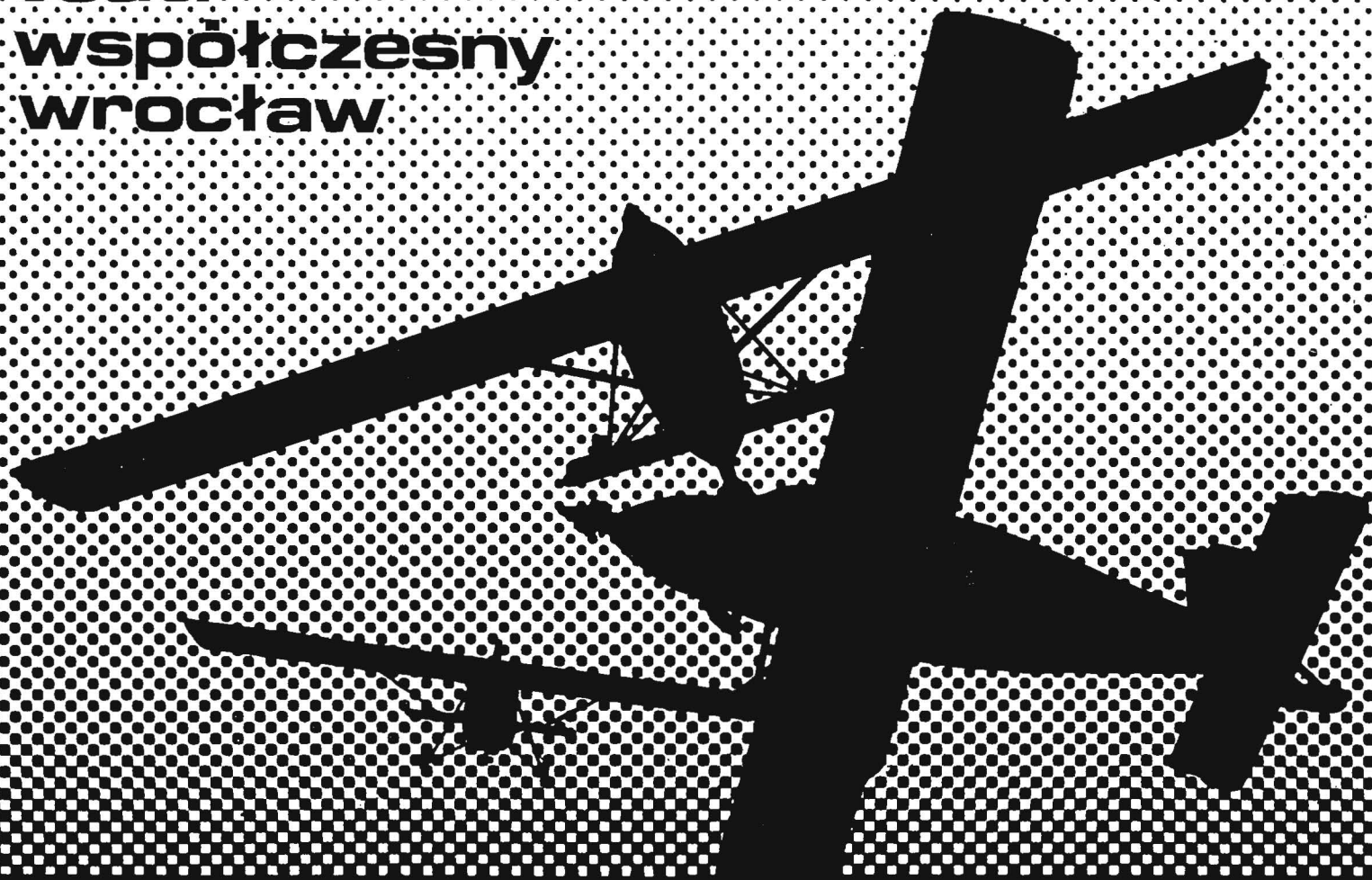


teatr
współczesny
wrocław



marek
hłaško

PALCIE RYŻ
KAŻDEGO DNIA

MAREK HŁASKO

PALCIE RYŻ KAŻDEGO DNIA

Opracowanie tekstu i reżyseria:

BOGUSŁAW JASIŃSKI

Opracowanie scenograficzne:

ALI BUNSCH

Współpraca inscenizacyjna:

KAZIEMIERZ BRAUN

Muzyka:

ZBIGNIEW KARNECKI

Asystent scenografa:

JOANNA BARYLIŃSKA

Asystent reżysera:

RYSZARD JABŁOŃSKI

JANUSZ JAKUBIK

Dyrektor i kierownik artystyczny:
KAZIMIERZ BRAUN

Z-ca dyrektora:
JANUSZ PŁAWIŃSKI

Kierownik literacki:
ANDRZEJ FALKIEWICZ

Redakcja programu: JUSTYNA HOFMAN

Opracowanie graficzne: JOANNA BARYLIŃSKA

PRACOWNIE TEATRU :

Kierownik techniczny	—	BRONISŁAW HOLAK
Kierownicy pracowni :		
Krawieckiej	—	MARIA CHUDECKA
	—	STANISŁAW STEPEK
Stolarskiej	—	JÓZEF STEPEK
Perukarskiej	—	BARBARA MAŃKOWSKA
Pracownia malarska	—	MARIAN KMIECIAK
Pracownia modelarska	—	STANISŁAW WASLUK
Prace szewskie	—	FRANCISZEK MYŚLIŃSKI
Prace tapicerskie	—	BOGUSŁAW URBANIAK
Kierownik sceny	—	MARIAN WÓLCZECKI
Gł. akustyk	—	MACIEJ PROSEK
Światło	—	ZBIGNIEW SUS

Biuro Obsługi Widzów przyjmuje zamówienia na sprzedaż biletów zbiorowych, kuponów wymiennych oraz organizowanie uroczystych akademii codziennie w godzinach 9—16, tel. 44-37-62 i 44-32-76 w. 69. Kasa biletowa 44-32-76 w. 19.

O B S A D A

Anderson	—	KRZYSZTOF BAUMAN
Rayan	—	JERZY GUDEJKO
Helen	—	MAGDALENA KUMOR
Esther	—	JOANNA LADYŃSKA
Murray	—	MACIEJ RESZCZYŃSKI
Barman	—	MEDARD PLEWACKI
Sprzedawca komiksów	—	KAZIMIERZ WYSOTA
Salvatore	—	RYSZARD JABŁOŃSKI
Oficer policji	—	RYSZARD RADWANSKI

Inspicjent: JERZY CHUDZYŃSKI

Sufler: TERESA PERETIATKOWICZ-PROSEK

„To życie, które widziałem dokola siebie, było mi obce (...). A ja wciąż myślałem o tym, który ma dzwonić do szafy dwudrzwiowej i oczekuje propozycji. Kiedy opowiadałem to ludziom tutaj, pękali ze śmiechu” („Piękni, dwudziestoletni”).

„Nie miałeś nigdy ochoty zabijać tych, którzy ci płacą?

— Nie myślałem o tym nigdy.

— Lepiej nie zaczynaj (...).

— Ile już ps-w zabilesz?

— Ciągłe zabijam tego samego. Za każdym razem zdaje mi się, że strzelam do tego samego psa. („Psy i ludzie”).

„Dlaczego nie rozumiesz serca kobiety? Dlaczego nie rozumiesz tego, co ona musiała przeżyć, kiedy patrzyła, jak on mówi o Bogu, a tutaj ludzie śmieją się i gwizdzą?” („Sowa, córka piekarza”).

„Nikt nie wie, jak zniszczyć nieśmiertelność jakiejś sprawy, bo czasem mieści się ona w czymś, na co nie sposób zwrócić uwagi, w czymś koło czego przechodzi się obojętnie i z pogardą, a co pozostaje nietknięte i niepokonane. (...) Ale dla nas samych jest to tajemnicą. Świat pełen jest śmieci, w których jedni ludzie usiłują drugim wyjaśnić coś, czego zrozumienie wymaga jednej tylko chwili”. („W dzień śmierci jego”).

„A co ty robisz? — A w teatrze jestem. — mówię. W teatrze — mówi ona. — A co robisz? — Gram. — Na czym grasz — mówię, gąska nie poznała mnie. — Aktorem jestem. — To znaczy artysta? — A jak? — powiadam — a artysta. Nagle ona zrywa się z łóżka, a tu noc, wszyscy śpią, ma się rozumieć, prowincja, podlatuje gołuska do okna i wrzeszczy: ludzie, ludzie, artysta mnie ten, tego, hm... hm”. („Powiedz im, kim byłem”).

MAREK HŁASKO

MAREK HŁASKO

Urodził się 14-go stycznia 1934 roku w Warszawie. Tam spędził dzieciństwo i lata wojny. Naukę w szkole powszechnej rozpoczął podczas okupacji, ukończył we Wrocławiu w roku 1946. Szkoła średnia to powrót do Warszawy. W tym samym czasie uczęszcza do Państwowego Liceum Techniczno-Teatralnego. W 1949 roku ponownie przyjeżdża do Wrocławia i rozpoczyna tu pracę najpierw jako robotnik, później pomocnik kierowcy. W tym czasie nawiązuje pierwsze kontakty z literatami, artystami. Po kolejnym powrocie do Warszawy rozpoczyna pracę dziennikarską. W latach 1951-52 jest korespondentem terenowym w „Trybunie Ludu”. W roku 1954 debiutuje „Bazą Sokołowską”. W rok później rozpoczyna pracę w „Po Prostu” jako kierownik działu prozy. (pracuje tam do roku 1957). Pisze w tym czasie dużo artykułów analityczno-krytycznych, esejów, felietonów, nie zaniedbując pracy strictly literackiej. W roku 1956 zostaje przyjęty do Związku Literatów Polskich. W roku następnym jest współorganizatorem pisma pt. „Europa”. Za „Pierwszy krok w chmurach” otrzymuje literacką nagrodę wydawców. Już wówczas krytyka (m.in. Michał Komar) zwróciła uwagę na podstawowy i charakterystyczny dla całej jego twórczości rys: Hłasko pisał o sobie. Przede wszystkim o sobie, z a w s z e o s o b i e. Ironicznie, źle, „zmyślając”. Niejednokrotnie przekraczając granice literackiego ekshibicjonizmu.

W lutym 1958 roku Marek Hłasko wyjeżdża do Paryża. Potem Szwajcaria, Włochy i w październiku tego roku będąc w Berlinie Zachodnim odmawia powrotu do kraju. Rozpoczynają się dlań długie, bo trwające jedenaście lat, lata wędrówek. Francja, Włochy, RFN, Izrael (tam pracował m.in. jako operator samolotu), Anglia... W 1961 roku żeni się z aktorką, Sonią Ziemann. Ślub odbył się w Londynie. W małżeństwie tym dopatrywano się źródła „kompleksu sutenera” obecnego w jego późniejszej twórczości, a także i „kompleksu niemieckiego”. Hłasko na krótko przerwał swą włóczęgę po świecie. „Wiem, że będę musiał się chwycić jeszcze tysięcy sposobów zarabiania, ale chcę przegrać po swojemu” — pisał we fragmencie „Pięknych, dwudziestoletnich” opublikowanym w paryskiej „Kulturze” (z wydania książkowego fragment ten został wyłączony). Jednak... lato 1965 spędza w Szwajcarii, ze względu na kontrakt żony z teatrem w Zurychu. „Dla Soni” dedykowana była powieść „Wszyscy byli odwrócenii” powstała w Madrycie w 1963 roku (wyd. Paryż 1964).

W roku 1965 Hłasko mieszka w Paryżu. Z żoną praktycznie już się wówczas rozstał — formalny rozwód następuje w roku 1969. W 1966 Hłasko opuszcza Europę udając się do Kalifornii. Roman Polański miał tam kręcić film wg jego scenariusza. Film nie został zrealizowany, a Hłasko zapisał się do Szkoły Lotnictwa Cywilnego i w roku 1968 w Santa Monica uzyskał licencję pilota.

Zmarł nagle (prawdopodobnie samobójstwo) w Wiesbaden 14-go czerwca 1969 roku. Był robotnikiem, dziennikarzem, kierowcą, eseistą, krytykiem, tragarzem, pilotem, pisarzem... Szczegóły, kolejne miejsca zamieszkania, awantury i skandale, anegdoty etc. towarzyszące jego losom jednak nie odgrywają decydującej roli w rekonstrukcji życia tego pisarza, gdyby ktoś chciał taką przeprowadzić. Najważniejsza jest w tym jego postawa: postawa „losera”, którą sobie przypisał.

Jak u wielu pisarzy tego pokolenia brutalność w przedstawianiu szczegółów obyczajowych i życia uczuciowego ukrywa pragnienie piękna, czystości, uczciwości, prawdy oraz goręczy, że tych wartości — mimo wieloletnich wędrówek — nie można znaleźć w obserwowanym świecie.

W 1975 roku sprowadzono jego zwłoki do Polski i pochowano na Powązkach.

Podszedł do mnie po zebraniu Kola Młodych Pisarzy przy Oddziale ZLP we Wrocławiu, przedstawił się. W tym pierwszym zetknięciu wydał mi się trochę nerwowy i onieśmielony; jego dłoń nie kojarzyła mi się wtedy z łapą bywałego szofera. Był wysoki, szczupły, jakiś taki wiotki, niepewny. Może nawet zagubiony. Wyjaśnił, że w Warszawie, chyba w Komisji Młodzieżowej Zarządu Głównego ZLP, podano mu moje nazwisko wraz z informacją, że także jestem młodym pisarzem robotnikiem, co zapewne ułatwi nam porozumienie. Nie byłem zachwycony: panujący wówczas socrealizm wybitnie mi nie leżał, a zatem i ewentualne dyskusje dwóch przedstawicieli tej klasy, która nie tylko wzięła władzę w swoje ręce, ale i „tworzy nową kulturę” jak to przedstawiono mi nieco wcześniej na wieczorku tanecznym u studentów. Wkrótce okazało się, że socrealizm Marka też nie interesował, a nawet był mu zdecydowanie przeciwny.

Następne spotkanie nastąpiło już nie w Kole i dopiero po pewnym czasie. Odwiedziłem go wczesnym popołudniem w domu — mieszkał na sublokatorce gdzieś w rejonie Politechniki. Z pewnym trudem dotarłem do wskazanego mi pokoju, objając się w pełnym gratach i załamań korytarzu. Spał jeszcze, gdyż całą noc pisał. Być może ten czas dzielący pierwsze spotkanie od drugiego sprawił, że Marek wydał mi się zupełnie inny. Nie był to już ani wiotki, ani nerwowy, lecz raczej rosy, sympatyczny i pewny siebie chłopak, który sporo ma za sobą, a jeszcze więcej przed sobą. I nie przypominam sobie, żebyśmy w czasie naszej znajomości prowadzili jakiegóż dłuższe dyskusje o socrealizmie, nie za wiele mówiliśmy o literaturze w ogóle. Więcej chyba o tym, gdzie który z nas tyrał do tej pory, o pijatykach, bójkach towarzyskich, noc-kach na przyczach komisariatów i podobnych, niewymyślnych „atrakcjach” naszego wcześniejszego żywota. Przychodziłem do niego o dwunastej, czternastej... przeważnie spał po przepisanej nocy.

Opiekował się nim wówczas Igor Newerly (chyba on podał mi moje nazwisko), który pomagał także i mnie. Marek był już wtedy autorem „Sokołowskiej Bazy” przyjątej do druku w „Sztandarze Młodych” (nie pamiętam czy była w tym dzienniku drukowana, bo tego nie śledziłem). Było to dla niego sporym przeżyciem. Napomknął chyba, że przy podpisywaniu tej pierwszej umowy miał prawie łzy w oczach. Pokazywał mi nawet tę umowę, ale dokładnie raczej jej nie czytałem (było to w tramwaju). I pisał zapewne nowe opowiadania, publikowane niedługo potem w różnych pismach. Duży rozgłos przyniósł mu zbiór „Pierwszy krok w chmurach”.

Nim jednak do tego doszło nie zawsze miał co jeść i gdzie spać. Jesienią pięćdziesiątego trzeciego roku, chyba na krótko przed wyjazdem z Wrocławia, na pewien czas zamieszkał u nas. Zajmowaliśmy z żoną pokój z kuchnią i spodziewaliśmy się wkrótce dziecka. Cały „luksus” to były dwa żelazne wyra. Na jednym spaliśmy my, na drugim Marek. Ale z tego, co Marek mówił wynikało, że już nie w takich warunkach zdarzało mu się bytować. Kiedy wychodziłem do pracy obierał na obiad ziemniaki, palił w piecu, robił zakupy, opiekował się żoną. Wszystko z humorem i rozmachem. Często dowcipkował, że on jeszcze i poród odbierze, bo „przecież to obowiązek przyszłego ojca chrzestnego”. A wieczorami w biurze Oddziału ZLP przepisywał na maszynie fragmenty mojej powieści, którą kawał czasu później wydałem pt. „Tryptyk na śniegu”. Żyliśmy wtedy bardzo niebogato. Zdarzyło mi się kupić na ucztę cały świński łeb. Marek jednak „dziubał” to bez entuzjazmu, gdyż tylko „schabowy poprawiał mu samopoczucie”. Kiedyś jechałem służbowo do Warszawy. Marek dał mi kopertę z pieniędzmi dla jakiejś kobiety. Ona tej forszy nie chciała, więc oddałem ją Markowi z powrotem. „Czemuś tego, durniu, nie przepił?” — powiedział.

Porodu jednak nie odebrał, ojcem chrzestnym nie został, gdyż wcześniej się wyprowadził — znalazł mieszkanie i albo pisał, albo też w ogóle wyjechał. Mimo zmiany profesji dalej był zawziętym samochodziarzem. Zaczął interesować się lotnictwem. Wyjechał z Wrocławia do Warszawy i nagle okazało się, że pisze genialne opowiadania. Literacko we Wrocławiu nie został dostrzeżony. Chyba niczego tutaj nie drukował. Widywaliśmy się już tylko przelotnie.

Ostatni raz spotkaliśmy się latem 1956 roku. Dobrze już po północy wracałem do domu. Naprzeciw szło dwóch facetów. Przed gmachem NOT-u przy ulicy Świerczewskiego jeden z nich przystanął:

— Tadek, nie poznajesz?

Poznałem, chociaż tej nocy miałem spore trudności z poznaniem kogokolwiek i czegokolwiek. Mimo to zapamiętałem, że Marek wraz z przyjacielem, Henrykiem Berezą, mieszkają w hotelu „Odra”. Wpadłem tam przed południem, zbudziłem obu panów, po drodze do mnie wstąpiliśmy do „Smakosza”... Jakoś jednak dobrnęliśmy do mojej chałupy, gdzie obaj panowie zdremnęli się na jednoosobowej kanapce. Zorganizowałem ćwiartkę, a potem poszliśmy na klina lub strzemiennego i tak się to ostatnie spotkanie zakończyło. Na marginesie warto chyba dodać, że Marek dość często, a przynajmniej wówczas kiedy go znałem, miał długie okresy absolutnej abstynencji. Wtedy chyba pisał...

